Świadectwo życia - piekło pod powiekami.
Wojenne wspomnienia Jerzego Werwińskiego z Żychlina.

Pan Jerzy Werwński, 94 – letni mieszkaniec Żychlina, więzień niemieckiego obozu na Radogoszczu w Łodzi w 1944 roku, obozu pracy karnej na Sikawie w Łodzi skąd został odesłany do kopania okopów w Parkach koło Poddębic. Pan Werwiński podczas II wojny światowej był nastolatkiem, który oszukał śmierć, uciekł z okopów spod Poddębic i przed wyzwoleniem wrócił do rodziny do Żychlina. O dramatycznych przeżyciach, krwi, bólu, śmierci i nieludzkich zachowaniach Polaków, Rosjan i Niemców opowiedział 16 lutego 2016 roku historię swojego życia w Muzeum Regionalnym w Kutnie.

Muzeum Regionalne w Kutnie

RADOGOSZCZ – ŁÓDŹ.

Erweitertes Polizeigefängnis Radegast

Radogoszcz – męskie „Rozszerzone Więzienie Policyjne”, utworzone 1 lipca 1940 w fabryce włókienniczej Samuela Abbego, położonej u zbiegu obecnych ulic Zgierskiej i gen. J. Sowińskiego w Łodzi. Miejsce największej niemieckiej zbrodni wojennej – w styczniu 1945 r. dokonanej na obszarze Polski pomiędzy Bugiem a Odrą w okresie działań frontowych, poprzez spalenie głównego budynku więziennego wraz z więźniami w liczbie co najmniej 1500 osób. Obecnie oddział Martyrologii i Walki „Radogoszcz” Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi.

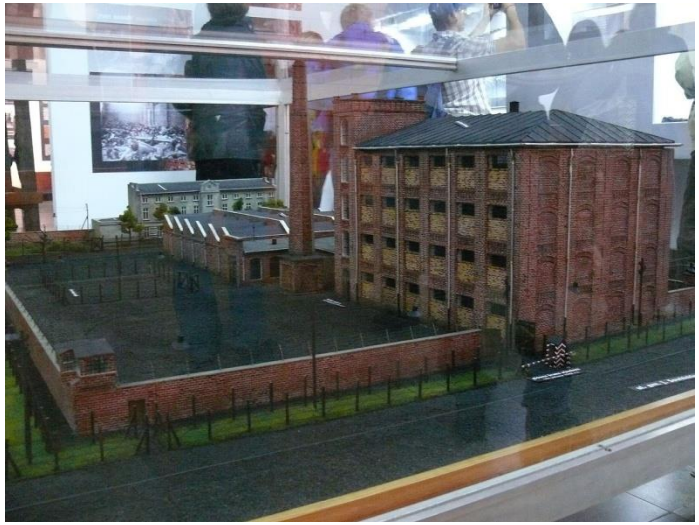

Makieta więzienia radogoskiego na ekspozycji muzealnej obecnego Mauzoleum radogoskiego

Ruiny spalonego więzienia.

Mauzoleum na Radogoszczu

„Uciekłem na stawy dobrzelskie, i jeden z kolegów stanął przy Trzech Krzyżach i jak ten Niemiec wracał z żandarmerii to go złapał, kolega mnie wydał. Żandarmi przyjechali do matki i pytają ją gdzie jestem, bo mama mówiła, że w Poznaniu, a oni wiedzieli że nie. Zaczęli matkę bić i ten kumpel przyleciał po mnie i i powiedział, że ją biją, więc się zgłosiłem od razu, bo mi było szkoda matki”.

Wspomnienie – Jerzy Werwiński.

Przez te wojenne pięć lat moje pokolenie widziało okrutną wojnę, która nas wyniszczyła. Do piekła dostałem się mając 15 lat, a dwa lata wcześniej wezwał mnie ówczesny niemiecki pośredniak pracy i skierował do pracy do gospodarstwa rolnego. Miałem więc 13 lat i pracowałem jak mężczyzna przez 18 miesięcy. 31 stycznia 1944 roku kierownik przyszedł do mnie i mówi -*Jutro już do nas do pracy nie przychodź, tylko idź do pośredniaka.* Było nas tam 40 osób, z Gostynina, Gąbina i zostaliśmy przewiezieni do Kutna i stąd pojechaliśmy 1 lutego do Poznania. Zostaliśmy tam zatrudnieni w nowym zakładzie AFA produkującym akumulatory. Pracowałem tam do 15 maja. Jak to chłopak młody, niedoświadczony, tęskniłem za matką. Prosiłem majstra aby mi dał przepustkę na niedzielę. Zawsze mi tłumaczył, że to wojna jest i żadnych przepustek nie ma. Jednak w niedzielę rano wstając pomyślałem, że pojadę i poszedłem na dworzec w Poznaniu. Tam trzy kasy po jednej i po drugiej, podchodzę do jednej i błagam o bilet do Kutna. Ona pyta czy mam przepustkę, no nie mam - *To uciekaj, bo tam banszuce stoją* (strażnicy kolejowi w tym przypadku żandarmi - przyp. red.) W innym okienku sprzedawał mężczyzna, podszedłem, ale powiedział to samo. Rzeczywiście żandarmi stali, ale też był inny żołnierz niemiecki, może miał ze 40 lat. Trochę mówiłem po niemiecku, proszę go więc aby kupił mi bilet, dając mu 20 marek. Poszedł i kupił, bilet kosztował 9 marek i 80 fenigów i resztę mi oddał. A ja mu chciałem za przysługę dać te 10 marek, ale on krzyknął, że za dużo, ale w końcu wsadziłem mu do kieszonki munduru. Chyba trafiłem na porządnego Niemca, orientował się o co chodzi, przeprowadził mnie przez żandarmów i poczekał aż pociąg do Kutna ze mną odjechał.

Przez te wojenne pięć lat moje pokolenie widziało okrutną wojnę, która nas wyniszczyła. Do piekła dostałem się mając 15 lat, a dwa lata wcześniej wezwał mnie ówczesny niemiecki pośredniak pracy i skierował do pracy do gospodarstwa rolnego. Miałem więc 13 lat i pracowałem jak mężczyzna przez 18 miesięcy. 31 stycznia 1944 roku kierownik przyszedł do mnie i mówi - Jutro już do nas do pracy nie przychodź, tylko idź do pośredniaka. Było nas tam 40 osób, z Gostynina, Gąbina i zostaliśmy przewiezieni do Kutna i stąd pojechaliśmy 1 lutego do Poznania. Zostaliśmy tam zatrudnieni w nowym zakładzie AFA produkującym akumulatory. Pracowałem tam do 15 maja.

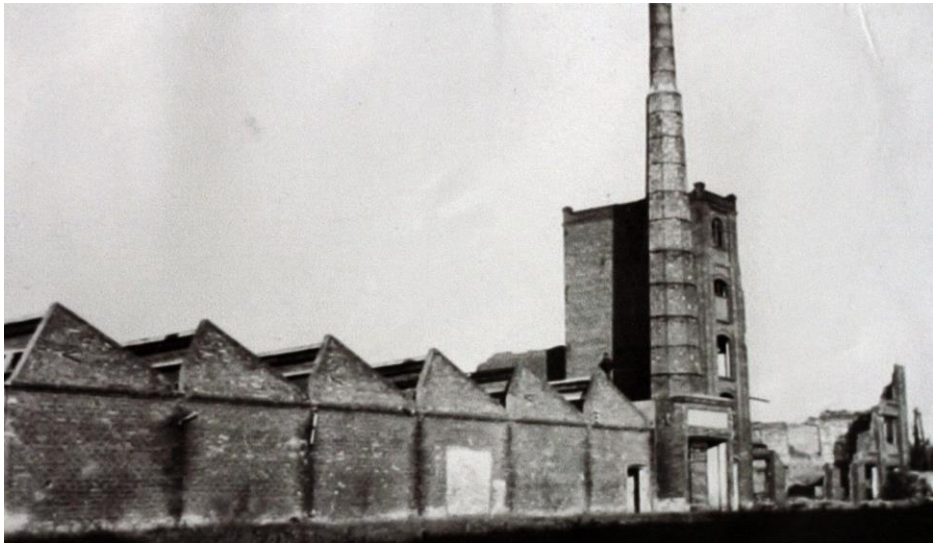

Ruiny spalonego więzienia.

Jak to chłopak młody, niedoświadczony, tęskniłem za matką. Prosiłem majstra aby mi dał przepustkę na niedzielę. Zawsze mi tłumaczył, że to wojna jest i żadnych przepustek nie ma. Jednak w niedzielę rano wstając pomyślałem, że pojadę i poszedłem na dworzec w Poznaniu.

Tam trzy kasy po jednej i po drugiej, podchodzę do jednej i błagam o bilet do Kutna. Ona pyta czy mam przepustkę, no nie mam - To uciekaj, bo tam banszuce stoją (strażnicy kolejowi w tym przypadku żandarmi - przyp. red.) W innym okienku sprzedawał mężczyzna, podszedłem, ale powiedział to samo. Rzeczywiście żandarmi stali, ale też był inny żołnierz niemiecki, może miał ze 40 lat. Trochę mówiłem po niemiecku, proszę go więc aby kupił mi bilet, dając mu 20 marek. Poszedł i kupił, bilet kosztował 9 marek i 80 fenigów i resztę mi oddał. A ja mu chciałem za przysługę dać te 10 marek, ale on krzyknął, że za dużo, ale w końcu wsadziłem mu do kieszonki munduru. Chyba trafiłem na porządnego Niemca, orientował się o co chodzi, przeprowadził mnie przez żandarmów i poczekał aż pociąg do Kutna ze mną odjechał.

Między Kłodawą a Kutnem pociąg stanął w polu. Żandarmi wchodzą z jednej i z drugiej strony do wagonu i rewizja. Dochodzą do mnie, oczywiście nie miałem przepustki, nazbierali nas chyba z pięciu. Zapytałem czy mogę iść za potrzebą, a łazienka była na drugim końcu wagonu, otworzyłem drzwi i uciekłem. Na pieszo wróciłem do Żychlina.

Cztery dni byłem w domu swobodny, a potem patrzymy z mamą dwóch żandarmów jedzie na rowerze, mama do mnie mówi - Patrz, może po ciebie, uciekaj. No i uciekłem. Jednak po jakimś czasie zatrzymał mnie z kolegami Niemiec, który stacjonował w szkole, trzech nas było i zamknął nas w obórce. Rosjanin, co u Niemców był w niewoli, powiedział nam przez drzwi, że Niemiec pojechał na żandarmerię. Obórka była niewysoka, pełna słomy, odbiliśmy z desek sufit, wciągnęliśmy się do góry i w nogi. Uciekłem na stawy dobrzelskie, i jeden z kolegów stanął przy Trzech Krzyżach i jak ten Niemiec wracał z żandarmerii to go złapał, kolega mnie wydał. Żandarmi przyjechali do matki i pytają ją gdzie jestem, bo mama mówiła, że w Poznaniu, a oni wiedzieli że nie.

Więzienne podwórko.

Zaczęli matkę bić i ten kumpel przyleciał po mnie i powiedział, że ją biją, więc się zgłosiłem od razu, bo mi było szkoda matki. Zamknęli mnie po południu w areszcie, a potem rano przewieźli do Kutna do więzienia na 29 Listopada.
W więzieniu hałas był straszny, bo wsadzali tu ludzi masowo uciekających z okopów spod Płocka. Kazał mi się rozebrać, sprawdził mnie i wepchnął gołego do celi. A tam siedział już taki starszy o 7 lat facet, Gwardęcki, który znał moich rodziców i poznał mnie. Siedzieliśmy tam razem dwa tygodnie.

Potem nas wsadzili do wagonów po dwóch, byłem z takim rodakiem z Pabianic i on mi powiedział Nie bój się, jedziemy w kierunku Łodzi. Potem przesadzili nas w tramwaje i przyjechaliśmy pod Radogoszcz. Pamiętam była 20.00, jeszcze było widno, weszliśmy przez wielką bramę. Józiu z Pabianic, Polak wachmann (strażnik- przyp. red.) służył tam, zaprowadził nas do łaźni, tam do rana siedzieliśmy i rano nas wykąpali, włosy obcięli, dezynfekowali. A wyglądało to tak, że na kiju więzień miał słomę, maczał w czymś w wiadrze i potem smarował nam ramiona, plecy.
Trafiliśmy na drugie piętro do głównego Radogoszcza.

Wiekie hale i dookoła prycze pobite. Wardęcki mówi do mnie - Patrz to chodzące trupy, my za pół roku będziemy też tak wyglądali, Wardęcki bardzo się przejął. Strach był okropny, spaliśmy na gołych deskach. Pod głowę była jedna deska więcej przybita. O 20.00 stawaliśmy przed tymi piętrowymi pryczami i nas liczyli. Kto tam mógł uciec? Ale nieraz były takie sytuacje, że wchodzii z psami, na szczęście w kagańcach, więc tylko pies przewracał więźnia. Strach był ogromny, ale jeszcze straszniejszy był głód, ciągle chodziliśmy głodni. Chleb był długi taki na dłoń, dzielony na 6 osób, jak zjesz rano na wieczór dostaniesz tylko pół litra kawy. Obiad dostawaliśmy w misce, bez łyżki, wypiło się a jak było coś więcej to ręką się zjadło. Rano nas wyprowadzali na spacery, do połowy gołych, trzymaliśmy odstęp w postaci ręcznika. Nie wolno było jeden za drugim. Oni stali wyżej i szczęściem było przejść okrążenie bez bata. Mam pamiątkę po Radogoszczu na głowie, dostałem czubkiem bata, krwią się zalałem, szczęście, że trzymaliśmy się tymi ręcznikami bo krew zalała mi oczy. Do dziś mam ten znak wycięty. I tak było codziennie, jeśli nie dostało się samemu, to napatrzyło jak inni cierpieli. Trzystu nas było na takiej wielkiej sali, smród był okropny, rano fekalia wylewali wyznaczeni więźniowie. Co noc broniłem twarz, głowę przed pluskwami, tak nas niemiłosiernie gryzły.

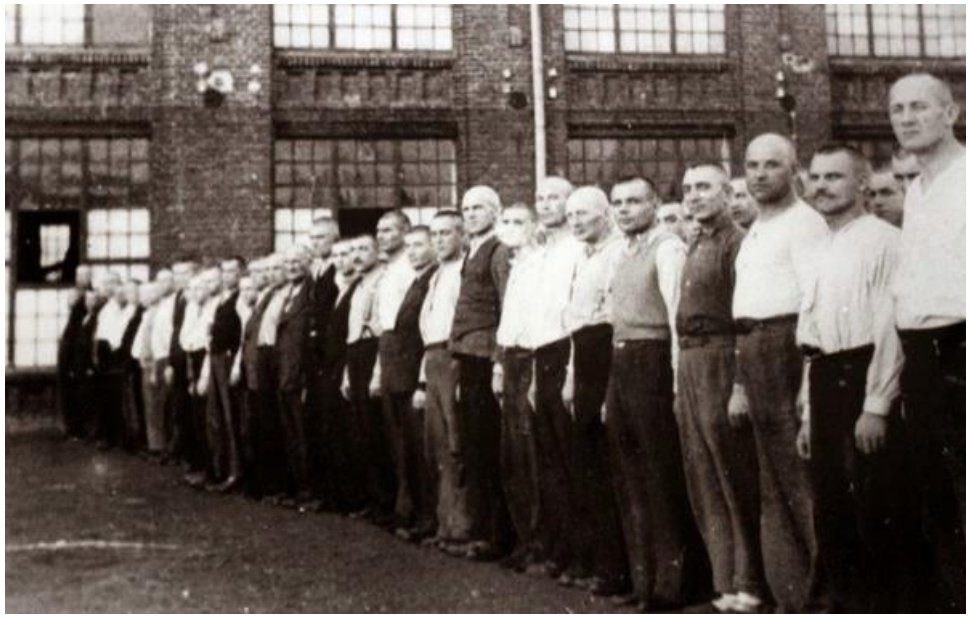

Aresztowani za złamanie okupacyjnego prawa niemieckiego.

Na szczęście przesiedziałem tam trzy miesiące bo nas w sierpniu wyczytali dziesięciu z tej sali i z innymi wsadzili do samochodów i wywieźli piekła na Sikawę. Tam były w porównaniu z Radogoszczem warunki o 100 % lepsze, dlatego że spało się na sienniku, łóżko było, chleb był okrągły, większy niż na Radogoszczu i też dzielony na 6 osób na cały dzień. Na Sikawie budziliśmy się o 4 rano i całe dnie przebywaliśmy na powietrzu, na dużym podwórzu skakaliśmy żabki, czołgaliśmy się, chodziliśmy, nie jak w więzieniu, tylko jak w wojsku. Byli tacy, którzy policzyli ile dziennie chodziliśmy do obiadu, kilkadziesiąt kilometrów, jak nas potrzebowali do pracy to po prostu brali. Też kiedyś byłem wzięty do pracy, kopaliśmy bunkry na terenie po getcie żydowskim w Łodzi, czterdziestu nas jechało, gestapowiec z nami, a na miejscu pilnował nas Wermacht.

To co przeżyłem to jedno, a to co widziałem to drugie, nie wiem czy nie jeszcze to gorsze jest dla człowieka. Straszne rzeczy widziałem. Niemcom przywozili obiady, ja stałem akurat na zewnątrz dołu i odwalałem ziemię, bo nie nadawałem się, żeby go kopać. Siedzi żołnierz i je ten obiad, krzyczy nagle do mnie - Komm! Idę do niego, jakieś 10-12 metrów, pyta mnie Essen? i podaje menażkę z połową obiadu. Zjadłem i kazał mi umyć, woda w beczce stała, umyłem i oddałem mu ją. Za 5 minut doszedł do mnie ten gestapowiec, który nas przywiózł z Sikawy i jak mnie kopnął, aż wpadłem do tego dołu, który kopaliśmy. Dwóch co tam kopało wydobyło mnie z niego, gestapowiec jeszcze raz mnie uderzył, a ten żołnierz niemiecki co dał mi jeść, jak zobaczył to, sięgnął po karabin i na tamtego. Na szczęście kumple go zatrzymali, bo by tego gestapowca zastrzelił za to, że ten mnie zbił za to, że on mnie nakarmił. Do wieczora trząsłem się tylko, bo bałem się że ten gestapowiec na Sikawie mnie wykończy za to, bo to moja przecież wina, cała ta sytuacja. Jakoś wyszło, że dał mi święty spokój.

Jak nas przewożono z miejsca na miejsce to musieliśmy rozbierać się do naga, dwóch wachmanów sprawdzało czy my czegoś nie przewozimy w sobie. Jesteśmy w łaźni przed obiadem, łaźnia to takie betonowe koryta i strumień lodowatej wody, koszulę zdjąłem i powiesiłem na okienku, otwierało się do wewnątrz. Nie zdążyłem zacząć się myć a tu krzyczą, że zbiórka. Trzeba było bardzo szybo się stawić, bo inaczej dostawało się w skórę. Minutę, dwie to trwało, już dwóch przy wejściu stało. Ściągnąłem koszulę z okienka, a za mną szedł wyższy więzień i to okienko go uderzyło i szyba pękła. Zrobiła mu ranę na głowie. Wachmanowie schwycili nas obu i zaprowadzili na wartownię. Tam siedział rozparty w fotelu taki 100-kilowy Niemiec. Wstał, podszedł do mnie i pyta mnie ile mam lat, mówię 15 lat, i otworzył szafkę a tam kilkanaście batów skórzanych, różnych, zakończonych haczykami, i każe mi wybrać bat. Zarządził 25 batów, trzeba było się pochylić, przygiąć i jak huknął to czułem może tak do 5 bata. Trzeba było do tego po niemiecku je liczyć. Spałem ze cztery dni na brzuchu. A ten starszy mężczyzna dostał aż 50 razów.

Walter Pelzhausen (ur. 1891 , zm. 1 marca 1948 w Łodzi) – porucznik policji, członek NSDAP, zbrodniarz wojenny odpowiedzialny za spalenie więzienia na Radogoszczu w Łodzi wraz z więźniami w styczniu 1945 roku.

Na Sikawie zamykali ludzi z Powstania Warszawskiego. Byli tacy bracia około 13-14 lat, pewnego dnia, liczą nas i dwóch brakuje. Niemcy rozbiegli się po barakach, znaleźli ich, musieliśmy zrobić koło, przynieśli dwie kobyłki, do przełożenia ich przez nie. Nemcy tego nie robili, to kapo, Polacy. Były różne bicia, Niemcy nie bili tylko właśnie Polacy. Niemiłosiernie ich stłukli, jak braci odwiązali od kobyłek to ich zanieśli na izbę chorych. Nie wierzę, że oni przeżyli.

Była też taka historia, po lewej stronie w baraku żona, po prawej mąż. Wachmanka złapała żonę, która podrzucała chleb mężowi. Przyszedł komendant obozu, kazał przynieść bochenek chleba, przyprowadzili męża i miał przez minutę zjeść go.Jak go nie zjesz nie będziesz już w życiu jadł - powiedział komendant. Żona musiała patrzeć jak go tłukli jak nie zjadł, złapało potem go dwóch i wyniosło do izby. Te pół roku szczegółowo to musiałbym no stop tydzień opowiadać. Więcej się widziało, niż się przeżywało.
W październiku wyczytali mnie na Sikawie wśród setki ludzi, rozstałem się z Gwardęckim wtedy. Przywieźli nas na halę do Łodzi i sprowadzali do nas ekspedientki ze sklepów. Po kilku dniach przewieźli nas wszystkich na okopy pod Poddębice. Jak mnie zamknęli to miałem koszulę, bluzkę taką, krótkie spodnie i byłem na boso. Tak też wyszedłem z Sikawy. Okopy kopaliśmy równy miesiąc, do listopada. Znów mnie poznał kolega, starszy o dwa lata, opowiedział, że ludzie zaczynają z okopów uciekać. Co dzień było ich coraz mniej, także Niemcy już na to nie reagowali. Na okopach to już mieliśmy takie wszy, że nawet siedziały w szwach koszuli, jedna przy drugiej. Spałem w stodole siedząc, bo nie było miejsca

Nie myłem się ten miesiąc, spałem, wstawałem, pracowałem i znów na siedząco spałem. Prowiant suchy dostawaliśmy dwa razy w tygodniu i obiady przywozili. Kumpel mówi do mnie - Jurek, patrz ludzie uciekają, coraz mniej jest, uciekajmy, ja mówię Ignac ale ja nie wiem w jakim kierunku uciekać. I on się wywiedział w którym kierunku. Następnego dnia o 6 rano wyruszyliśmy, omijaliśmy drogi, szliśmy lasami na kierunek. Szliśmy 12 godzin, było jakieś 5 stopni przymrozku. Wszedłem do domu, matka mnie złapała, ojciec był piekarzem, więc był jeszcze w domu, wszedłem goły do mieszkania, bo te łachy z wszami zostawiłem i ojciec spalił. Moja pielgrzymka przez Radogoszcz, przez to piekło dobiegła końca, wszystko dzięki temu że nas w sierpniu na Sikawę przewieźli, bo tak nie wiem czy byłbym tu teraz z wami.

Masakra więźniów pod dowództwem komendanta więzienia – Waltera Pelzhausena.

Spotkanie w Muzeum Regionalnym w Kutnie było możliwe dzięki inicjatywie Pana Tadeusza Kafarskiego, wiceprezesa Towarzystwa Miłośników Historii Żychlina, pasjonata, regionalisty, społecznika.

Fotografie - Archiwum Muzeum Tradycji Niepodległościowych oddział Radogoszcz.
Tekst -- www.ekutno.pl/
Muzeum Regionalne w Kutnie
Opracowanie – autor strony zychlin-historia.com.pl/